

Wiesław Porzycki

DZIECI WUJEK FABRYKA I JA



Nie mogło być wątpliwości: mężczyzna, leżący na skraj szosy, nie żył. Skulone ciało w świetle reflektorów wielkiej ciężarówki sprawiło wrażenie kogoś, układającego się do snu. Dla Mieczysława Nitschkego był to sen wieczny. Nie wiedział, zajmując miejsce pod budą „Żubra”, że rusza z Poznania w ostatnią podróż.

— Musiał spać w czasie jazdy pod koła przyczepy. Odczułem dość silny wstrząs... — kierowca, udzielający wyjaśnień, znacząco urwał.

W skromnym biurze wydziału pasów klinowych fabryki „Stomil” długo dzwonił telefon. Na trzeciej zmianie załoga nie pracuje w pełnym składzie. Wystrużony zegar wskazywał mniej więcej czwartą, za oknami trwała jeszcze listopadowa noc. Dzisiaj nie łatwo ustalić, kto przyjął tragiczny meldunek.

— W pobliżu Koła, we wsi Przykossy, zdarzył się wypadek. Śmierć poniósł długoletni robotnik walcowni, Nitschke, jadący do Piastowa z transportem półfabrykatów. Zawiadomić żonę Rozalię, dyrektora i Radę Zakładową.

Telefony — samochód — dzwonił do drzwi — czyjeś przekleństwa, że spać nie dają. W ciągu pół godziny do fabryki przybywa Zdzisław Mięt-kiewicz, przewodniczący Rady. Trzeba powiadomić Rozalię Nitschke. Rozalia pracuje też w „Stomilu”, jest właśnie w zakładzie, ma „noc-ke”, za godzinę kończy...

Starołęcki cmentarz nie często jest widownią takich pogrzebów. Przyszli żegnać Nitschkego nie tylko najbliżsi współpracownicy jego liczna rodzina; tłumnie stawiła się młodzież, którą lubił („Ty, co szukasz tu, nad Wartą? W bramce u nas w drużynie zagrałbyś?”) i potrafił skupić wokół siebie. Był sztandar partyjny, zakładowa orkiestra, mnóstwo kwiatów, ktoś żegnał w krótkich, serdecznych słowach współtowarzysza pracy. Zapewniono wdowę, że załoga udzieli jej pełnej pomocy...

Mieczysław (junior) Nitschke miał wtedy, gdy chował ojca, czternaście lat, Urszula — dwanaście, a Bożenka — osiem. Mietek dobrze zapamiętał dzień, gdy matka wróciła zapłakana z fabryki, nie umiejąc ukryć przed dziećmi strasznej wiadomości. Wczoraj ojciec przywiózł do domu z kolegą upragniony telewizor — dzisiaj ojciec już nie będzie.

W lichym mieszkaniu Nitschków, sąsiadującym przez ścianę z barem „Starołęckim”, skąd latem wpadały przez uchylone okna grubiańskie słowa, a nieraz i kamień, zapanował smutek. Rozalia, wspierana przylazłym otoczeniem w „Stomilu”, starała się jak najlepiej wywiązywać ze swych obowiązków. Ale — to także pamiętają dobrze dzieci — nie było w niej już, jak się to mówi, ducha. Gasła z miesiąca na miesiąc. Uparta — unikała lekarza, jakby przeczuwając, że wizyta u niego może się skończyć długą rozłąką z dziećmi, na co zdecydować się nie chciała. Aż wreszcie — mniej więcej w dwa lata po śmierci Nitschkego — atak kamicy pociągnął za sobą wezwanie pogotowia. Miała 44 lata gdy umie-

rała w szpitalu w pełni świadoma że pozostawia dzieci, których los był dla niej zawsze sprawą najważniejszą. I tym razem „Stomil” zajął się pochówkiem, a najbliższe otoczenie Rozalii zebrało w fabryce w ciągu jednego dnia dwa tysiące złotych, które Helena Ratajska, dzisiaj sekretarz oddziałowej organizacji partyjnej, dostarczyła opiekunom dzieci jeszcze zanim ruszyły urzędowe starania o wypłatę z PZU.

Gdy po pogrzebie Rozalii Nitschke zebrała się tradycyjna rada rodzinna, by zdecydować o pokierowaniu losem trójki dzieci — Mietek chodził do klasy IX „ogólniaka”, Urszula do V podstawowej, a Bożenka dopiero do III. Ale — wspominają to dzisiaj z satysfakcją — nie chcieli się dać rozdzielić, jak to pierwotnie obmyśliła część wujków i ciot. Takie też zdanie przedłożyli rodzinnej radzie, a na pytanie drugie, kogo chciałoby za opiekuna, siostrzyczki zgodnie z bratem oznajmiły: — Wujka Pawła.

Mąż siostry zmarłej, Paweł Przybylski, emeryt wojskowy, był zaskoczony wyborem dzieci; bliższa rodzina — nawet jakby urażona. Ale — z robotniczą rzetelnością uszanowano wybór sierot. Tym bardziej że Leszek Szymański, kuzyn zmarłego, pracownik kontroli w „Stomilu”, biorący udział w radzie rodzinnej, z ramienia fabryki też opowiedział się za życzeniem sierot.

Jeszcze tego samego dnia sporządzono dokument, którego mocą upoważniono Przybylskiego do sprawowania opiekuństwa nad potomstwem Nitschków. Staraniem Rady Zakładowej i fabrycznego prawnika wuj Paweł został sądowo uznanym opiekunem sierot.

— Pan wie — Przybylski, człowiek w sile wieku, nie bez wzruszenia wspomina te chwile — co to za

odpowiedzialność? Byłem z początku mocno niespokojny. Jednak moja żona, Helena, pomogła mi wiele. Razem z naszymi dziećmi — Jackiem i Baśką — mieliśmy, co mówię, wciąż mamy — piątkę...

Wkrótce po zgonie Rozalii Nitschke zebrała się Konferencja Samorządu. Przewodniczącą Rady Robotniczej, Czesław Bartkowiak, nie musiał szeroko argumentować wniosków w sprawie trójki Nitschke.

Zapadły one bezwzględnie jedno-myślnie. Oprócz renty, należnej dzieciom po rodzicach, przedstawiciele załogi uznali za konieczne wypłacanie każdemu z trójki po 300 zł miesięcznie, aż do czasu uzyskania pełnoletności. Ponadto postanowiono przydzielić mieszkanie w budynku zakładowym na Dębcu, zwolnić sieroty od wpłaty kaucji, oraz — do momentu osiągnięcia przez nie samodzielności — od czynszu.

Kolorowy blok przy ulicy Klono-wej zaroził się stomilowskimi rodzinami dwa i pół roku temu. Opiekun Przybylski przysłowiowo wyłaził ze skóry, by jego trójka trafiła pod nowy dach bez starych rupiec „spod baru”. A to przecież z renty, nawet uzupełnianej przez fabrykę, nie było proste.

Siedzę teraz w przytulnym, dwupokojowym mieszkanku na trzecim piętrze, obok mnie — Mieczysław, Urszula, Bożena Nitschke, wujostwo Przybylski, jest też sekretarz komitetu partii ze „Stomila” — Kazimierz Kubiak i jego córka, Basia, najmilsza koleżanka siostr N. Za oknami śnieg, na stoliku — aromatyczna kawa i „katarzynki”, snują się wspomnienia, wzajem uzupełniane, nieraz — korygowane.

— ... To był ciężki okres, to dogła-

Dokończenie na str. 4

Wszystko to nasze. „Takie by ty zabawy...”, „Tańce, hu-lanki, swawole...”, „Za kró-la Sasa, jedz, pij i popuszczaj pa-sa”...

Wszystko to nasze. Za Sasów popuszczano pasa, teraz mamy kwadrat i szkło. Mniej obżarstwa i, chyba mniej picia, a więcej tańców. Całe szczęście, że rocki i charlestony zbiegły się w czasie z koszulami non-iron: ładnie by wyglądali nasi chłopcy, gdyby przyszło im tańczyć w strojach z XVIII wieku!

Dawne zabawy. Odmienne w formach, ale czy bardzo różne w treści? Oto przykłady z czasów naszych pra-pra... Zapewniam, że wszystkie autentyczne, włącznie z pisownią. Zadziwiająca jest trwałość obyczajów. Reguły towarzyskie z XVII wieku mogłyby się znaleźć u Kamyczka w „Przekroju”.

„Gość ani gospodarz nie powinien tego wspominać, co się podczas wesołego wieczoru mówiło i stało. Gość domowe zwyczaje powinien w domu zostawić, o dostatkach, kłopotach, niedostatkach etc. dla swojej sromoty i chwale-

by nie powinien wzmianki czynić...”. Cytat pochodzi z dzieła, wydanego w... Krakowie w 1660 r. Autorem był Filozofiej i Medycyny Doktor Stanisław Kazimierz Hercius.

Obowiązkowi pani i pana domu. Te również niewiele się zmieniły: najpierw należało gościa dobrze „zaprawić”, a potem w miarę możliwości przywrócić do

Irena Frąckowiak

Gość domowe obyczaje powinien w domu zostawić...

przytomności. Czytamy: „Jeśli chcesz upić kogo prętko bez szkody zdrowia — warz w wodzie skorki Pokrzykowe aż się woda zaczerwieni, zmieszaj ją z trunkiem jakim chcesz y oto dawaj pić, a obaczysz prawdę”. Kiedy chcesz prętko pijanego otrzeźwić, daj mu pić dużo octu, możesz mu też dać jeść kapustę surową kwaśną, pomaga y to”. W „Przyjaciół-

Eugeniusz Cofta

Zamglone oblicze

Sterta gruzu, jaka zaległa Poznań, a zwłaszcza jego centrum, w lutym 1945 roku budziła, mimo przerażenia i zwątpienia w możliwości szybkiej odbudowy, nadzieje na wydzwignięcie miasta o nowym obliczu architektonicznym i zmienionym układzie urbanistycznym. Wydawało się przed ponad 22 laty, że przede wszystkim można i trzeba nadać inne oblicze samemu śródmieściu miasta.

Zanim jednak podjęto konkretne decyzje o wykorzystaniu wspomnianej szansy, z różnych inicjatyw — niemal wszędzie — przystąpiono do odbudowy tego, co do niej się nadało. Żywiłowy charakter odbudowy powodował więc raczej odtworzenie poprzedniego stanu, z bardzo minimalnymi tylko korektami. Niemal w całości zrekonstruowano też dawne centrum, o niezmienionym układzie ulic, o nieznacznie przeistoczonej architekturze. Ta praktyka okazała się brzemenna w negatywne skutki.

Miasto rosło, pęczniało, zaludniało się, ale funkcja jego centralnego ośrodka nie ulegała zasadniczym przeobrażeniom. Wiele też czasu upłynęło, zanim po wielu dyskusjach, zmianach i ustaleniach dojrzał do zatwierdzenia perspektywiczny plan rozwoju Poznania, a wraz z nim i projekt przekształcenia śródmieścia.

Rada Ministrów zatwierdziła poznański plan perspektywiczny w roku 1962. Objęto nim lata 1961—1980 i ustalono systematyczny rozwój wszystkich dziedzin życia w naszym mieście. Plan przewiduje m. in., że w 1980 roku Poznań będzie liczył około 600.000 mieszkańców, że stanie się ośrodkiem o silnie rozwiniętym przemysle. Podstawą szeregu ustaleń i wytycznych jest i to, że w Poznaniu odbywają się trzy razy w roku imprezy targowe. Ustalono więc podstawowe funkcje miasta. Koncepcja rozwoju poszczególnych funkcji należy już do realizatorów projektu na jego różnych odcinkach. Spójrzmy zatem na stopień realizacji planu perspektywicznego w odniesieniu do centrum Poznania.

Mając na uwadze niezaprzeczalne osiągnięcia miasta w rozmaitych dziedzinach, zarówno w okresie pierwszych planów gospodarczych, jak i wyniki już na etapie wykonywania niektórych założeń zatwierdzonego planu perspektywicznego, nie bez niepokoju trzeba oceniać obecny jeszcze kształt centrum, a więc tej części miasta, która powinna być najwygodniejsza, estetyczna, nowoczesna i racjonalnie urządzona — słowem funkcjonalna.

Pojęcie centrum ogranicza się w Poznaniu raczej do ciągów ulic Czerwonej Armii, 27 Grudnia z Placem Wolności, Al. Marcinkowskiego oraz połączenia z Placem Wiosny Ludów. Miniona wojna pozostawiła tu liczne szczyrby. Wiele z nich zabudowano, ale inne do niedawna świeciły lub nadal świecą pustką, czego dowodem są nieśmiertelne niemal luki przy ul. 27 Grudnia, nad Domem Dziecka czy przy ul. Czerwonej Armii, obok Desy, nie wspominając innych. Gdy bliżej przyjrzyć się detalom — nie ma w tym rejonie ani wspaniałych sklepów, ani przestronnych ulic, nie ma placów (np. pl. Wiosny Ludów nie doczekał się jeszcze wytyczenia i pełnego zagospodarowania), nie ma też miejsc do parkowania narastającej liczby samochodów. Mało tego — wzmagający się ruch skłonił władze do wpro-

Dyskusyjnie o poznańskim śródmieściu

wadzenia jednokierunkowej komunikacji, mimo związanym z tym wielu niewygodnych sytuacji i konfliktów. W sumie — centrum naszego miasta nie ma oblicza, nadal jest nienowoczesne, mało funkcjonalne, nie dostosowane do potrzeb wielkiego miasta. Trudno w sumie doszukać się w tym rejonie wielkomiej- skich elementów.

Brak wstępnych koncepcji i szybkich decyzji po wyzwoleniu stworzył sytuację, w której jeszcze dzisiaj półmilionowe prawie miasto dusi się w najważniejszym jego rejonie, nie ma do dzisiaj żadnej architektonicznie w pełni wykształconej i skończonej arterii.

Życiowe konieczności zmuszały przez lata władze miejskie do stawiania nowych domów mieszkalnych, budowy całych osiedli, do odbudowy i późniejszych modernizacji urządzeń komunalnych, lub zwiększania bazy dla szkolnictwa, zwłaszcza podstawowego oraz przedsiębiorstwa szeregu innych, pilnych inwestycji. Podejmowano różne decyzje — jak to się powszechnie mówiło — priorytetowe. Centrum czekało. Najpierw na plan, później na etapy wykonania. Wreszcie — przed paru laty — ruszyło, rzekomo na dobre. Realizacja ta nie może jednak zachwycać. Wydaje się nie tylko zbyt powolna, ale przede wszystkim znacznie opóźniona.

Mam w pamięci wielokrotne przesunięcia budowy nowych obiektów przy ul. Czerwonej Armii, których projekty rodziły się dość długo. Później zatwierdzono już kształt tego ciągu ulicy, ale przesuwano realiza-

Dokończenie na str. 2

Zamiast się rozchorować i leżeć w łóżku z gorącym kompresem i rycyną, ówże Bohdan siadał znów do stołu i „obiad jego składał się z dziewięciu porcji wołowiny i kilku porcji cielęciny i baraniny, po nich spożywał kapłona, gęś, prosię, pieczeń wołową, skopową i wieprzową”. Przytoczyliśmy u-rywek z książki Sozańskiego „Żarliwy znakomici w Polsce”.

Na różowym niebie zabaw pojawiła się groźna chmura „Opiekun Domowy” w korespondencji własnej z Paryża donosi, że „Kto- kolwiek za pomocą bielidla i różu, za pomocą pachnących olejków, fałszywych włosów, żelaznych sznurówek, wypchanych bioder, trzewików na wysokich obcasach i zbyt krótkich sukien wciągnie jakiegoś męskiego poddanego J. K. Mości w związki małżeńskie, będzie ścigany jako czarownica, a małżeństwo za nieważne i nie- byłe ogłoszone zostanie”.

Rety, to przecież... „Moda Polska” właśnie obwieściła, że nie tylko fałszywe włosy, krótkie sukienki, wysokie obcasy, bielidło, czernidło i róż... W ręce nas pławić będą! — Nas czarownice...

Świdrygiełły, gdzie „...trwał obiad sześć godzin i najmniej sto trzydziści potraw zawierał. Gamrat biskup krakowski, późniejszy arcybiskup gnieźnieński zjadał na raz 12 kaptonów... Niejaki Bohdan, rządcą dóbr czudnowskich, zjadał na śniadanie skopową pieczeń, gęś, dwa koguty, pieczeń wołową, ser i trzy chleby, przy tym wypijał dwie miary miodu”.

Tryptyk bukowecki

I

Stara to osada. Ponoć cysterscy osadnicy przed przeszło 750 laty wyrąbali ją w bukowej puszczy i dlatego nazwali Bukowcem. Żyli w swoim kręgu. Prawa ojców obowiązywały z pokolenia w pokolenie. A że wtedy prowadził trakt z Kościana do Wschowy, niejednemu obcy przyniósł im nieszczęście: epidemii, która tu zbierała swoje obfite żniwo. Stąd wielowiekowa niechęć do obcych. Ocalał tylko co silniejszy ród. Szemysłikowie, Jęsikowie, Sobolowie na przykład legitymują się 250-letnią udokumentowaną zasiedlonością.

Było tu — jak wynika z badań mgr. E. Lepki z Grotnik — 25 jednolitych gospodarstw. Dzieleno je pomiędzy dzieci i wnuków. I tak do dnia dzisiejszego liczba zagrod powiększyła się 12-krotnie, jest ich około 300 z 1350 mieszkańcami.

Zasiedlali od wieków nie uważając się za rdzennych Wielkopolan. Przypisują się do pochodzenia z Łużyc i Dolnego Śląska. (Mieszkańcy okolicznych wsi posadzają ich o pochodzenie znanego Czarnego Morza). Sądzicie należy, że niechęć do obcych i obce pochodzenie, i las odgradzający wieś od innych wiosek — przyczyniły się do tego, że bukoweccy ludzie czują się niezwykle zwartą i odrębną grupą społeczną.

Przez 125 lat zaboru pruskiego ani jednego Niemca nie wpuścili do swojej wsi. Aby się nie dać „zjeść” ekonomicznie, założyli Bank Ludowy. Chór wiejski stał na straży mowy ojców i dorobku kulturalnego. Polska rzecznictwo bukowecka zwycięsko opierała się „kulturkampfi”, ba, nawet poza swoimi granicami robiła dywersję. Ktokolwiek wywodził, zabierał z sobą głęboki patriotyzm. Jeden z rodzi Białasów, zegarmistrz w Poznaniu przy ul. Wrocławskiej, na kopertach zegarków rzeźbił herby Polski i Litwy oraz hasła wolnościowe, czym narażał się władzom pruskim. Bukowiec brał udział w wielkopolskim powstaniu. Za swoją postawę w okresie okupacji wielu gospodarzy stało się parobkami Herrenvolku.

Z Bukowca ten i ów wędrował w świat za chlebem i zarobkiem, rozdrobione gospodarstwa nie mogły przecież wyżywić wszystkich członków rodzin. Dorodnych dziewcząt pilnowała młodzież męska dla siebie. Biała obcemu, który by odważył przychodzić w konkury. Mógł oberwać sztachetą, widłami lub kłonicą. Wyłomy były więc rzadkie. Taki jest Bukowiec.

II

— Pani Helena jest najlepiej zorientowana. Jej ojciec był muzykantem. Grał na dziesiątkach wesel, pięćdziesiąt razy był druhną. Ona więcej powie — poinformowano mnie u Markiewiczów i zaprowadzono do Białasów.

Znalazłem się w ciepłej, przyjemnej kuchni. Na stole zjawili się sterty rodzinnych fotografii i potoczyła się rozmowa o dawnych i jeszcze żywych obrzędach, obyczajach i zwyczajach. Rozmówcy moją, to żywa kronika.

Bukowiecki rok obrzędowy zawiera wiele elementów nieznanych już w sąsiednich wioskach i w innych regionach Wielkopolski. Podam tylko niektóre, specyficzne, ze szczególnym uwzględnieniem wróżebnych.

Od pierwszej niedzieli adwentowej aż do wigilii chodzą tu „gwiazdor” i „gwiazdka”. Ten pierwszy, obecnie w kożuchu, dawniej chodzący otulony słomą i przewiązany powrotem, na głowie miał ze słomy skronek rog. „Gwiazdka” towarzyszy mu w białym ubiorze, niosąc w kieszeniach przysmak dla dzieci — suszone owoce i cukierki. Ta wędrująca para egzaminuje dzieci z postaw w nauce, wymierza kary i daje nagrody.

Wieczer wigilijny jest bardzo wróżebny. Dziewczyna, jeśli z szopy do domu przyniesie wiązkę drew i okaże się, że ich liczba jest nieparzysta, może być pewna zamałżeństwa w najbliższym roku. A jak dowiedzieć się, skąd przyszedł małżonek? Trzeba rzucić bućka za wrota, ustawieniem swoim wskaże drogę.

A oto przepis dla gospodarza i gospodyni, aby przez następny rok dużo zbierać pieniędzy, a mało wydawać. Po prostu należy w dzień wigilijny nikomu nie pożyczać i niczego nie kupować. Gospodyni zapewni sobie niosąc kur siedzeniem przy stole wigilijnym. Im dłużej tym lepiej.

Z kolei recepta dla młodzieży męskiej, pragnącej wejść w związek małżeński. Po spożyciu wieczerzy wigilijnej należy mocno zastukać do chlewa. Jeśli odezwie się stara świnka — dla pukającego przeznaczona stara panna; jeśli młoda — młoda!

W czwartą niedzielę postu chodzi po wsi „nowe lotko”. Jest to sosenka ozdobiona na wierzchołku księżycem z papieru i wstążeczkami na gałązkach. Chłopcy i dziewczęta dawniej nieśli to „nowe lotko” od gospodarstwa do gospodarstwa i śpiewali:

Niech będzie pochwalony
pan i pani gospodyni.
„Nowe lotko” stoi w sieni,
koszyczek jaj,
zielony maj.

Trzeba za to płacić. Zwyczaj ten podtrzymują jeszcze dzieci, ale już bez śpiewu.

W wigilię świętego Jana należało okadzać izby domu i pomieszczenia inwentarskie. To ochroniło od złego. Wieczorem dziewczęta rzucały wianki na drzewa. Ta, której wianek zatrzymał się w konarach, wejdzie w stan małżeński.

W Święto Matki Boskiej Zielnej (15. VIII.) plecie się wianki z różnego kwiecia. Wianek z grzmotnika

wiesza się w stodole, aby zbiory ochronić od piorunów, z macierzanki — w domu, na wszelkie choroby, z rozsadnika — nad każdym łóżkiem, aby mieszkańcy długo żyli.

W skuteczność tych praktyk nie wierzą już bukoweccy ludzie; jeśli niektóre się zachowały to dlatego, że są uświęcone tradycją.

III

Folklor bukowecki jest i odrębny i bogaty. Kierownik świetlicy Liceum Ogólnokształcącego w Lesznie S. Skrzypczak zaopiekował się nim. Dojeżdża tu, zbiera co jeszcze się zachowało, i wraz z Z. Smoluchowskim opracowuje scenariusz do obrzędowych i obyczajowych obrazów.

Właściwie to inicjatywa Koła Gospodyń Wiejskich, najsilniejszej bukoweckiej organizacji. Przed kilku laty na Dzień Kobiet przygotowano wieczornicę z miejscowymi piosenkami. Jakże się ona podobała! Prezeska p. Markiewiczowa i jej koleżanki postanowiły ten piękny dorobek kultury wiejskiej uratować od zapomnienia. Myśl reaktywowania dawnego zespołu regionalnego (istniał przed dziesięć lat) została zrealizowana dzięki pomocy leśniczego Domu Kultury.

Powstały dwa zespoły, jeden złożony ze starszych (po czterdziestce) liczy 12 par, drugi składa się z 16 młodych par. A że dudziarze już w podeszłym wieku, zgłosiło się 5 młodych do nauczania się gry na tych instrumentach.

Wkrótce bukowecki zespół zaprezentuje swój nowy program. Trzeba go zobaczyć.

*

Wydawałoby się że Bukowiec hołduje tylko przeszłości. Byłaby to opinia dla krzywdząca. Mimo szacunku dla dorobku przodków, wieś modernizuje się w pełni. Dołożyła się do pobudowania drogi, założyła kanalizację, postawiła wiele nowych domów, w niejednym mieszkaniu już są centralne ogrzewanie i hydrofor. Jak dawniej krzątała się około dnia teraźniejszego, tak teraz około dnia przyszłego. I to mieszkańcy także wiąże z sobą. Jednym słowem — codzienną pracą, wspólnym działaniem, faktami trwałymi „piszą” dalsze swoje dzieje.

Zamglone oblicze

Dokończenie ze str. 1

cję. Dzisiaj — gdy trzy wieżowce lśnią już aluminiowymi ścianami — niepokoi fakt, że znów odroczone termin burzenia smutnych resztek na odcinku ul. Czerwonej Armii od Kantaka do Lampegó, na którym mają stanąć dalsze podobne dwagmachy. Jest też projekt zabudowy północnej ściany ul. 27 Grudnia. Ale i tu pięćdziesiąt lat nie tknęło jeszcze kilofem czy koparką. Z opóźnieniem przystąpiono też do modernizacji pl. Wolności, z góry zapowiadając, że roboty prowadzone będą etapami. Natomiast nic nie słychać o realizacji okrzykniętej kiedyś, a tak bardzo potrzebnej trasy Północ-Południe. Na razie pobudowano przy jej przyszybiej linii trzy wieżowce na ul. Piekary. Wprawdzie bardzo ładnie „siedzą” one w panoramie miasta, jednak rażąco odbijają od najbliższego otoczenia, zaś wzdłuż osi Al. Marcinkowskiego, nie dzieje się nic.

Sprawa modernizacji i uporządkowania poznańskiego centrum zaczyna być coraz bardziej palącą. Nadszedł chyba okres, który powinien nakłonić do koncentracji robót, do stworzenia szerokiego frontu prac budowlanych i drogowych. Ruch na ulicach śródmieścia, nawet tych najmniej głównych, staje się coraz bardziej zagęszczony. Są momenty, w których powstają korki bynajmniej nie ujemniejące jazdy przez centrum.

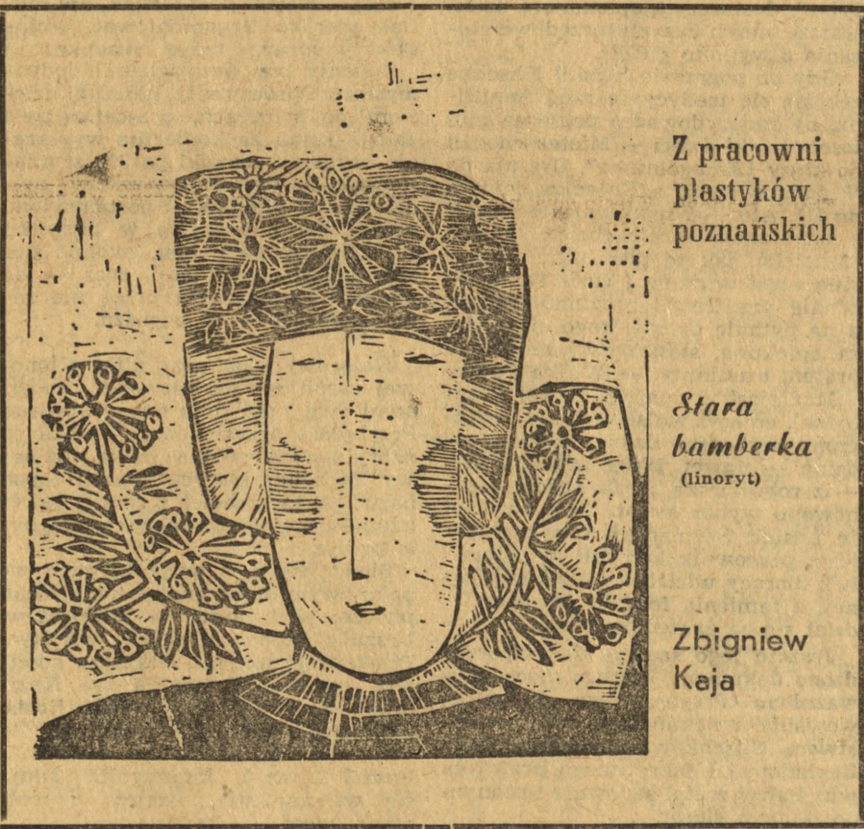
Z każdym dniem coraz mniej tu oddechu i swobody. A na ogół małe, pozabawione należytych zapleczy sklepy — to odrębne zagadnienie, także nie drugoplanowe. Jeden salon radiowo-telewizyjny czy dobrze wyposażony sklep sportowy nie zmieniają tu sytuacji.

Rzeczywistość, niestety, niebyst różowa, wymaga przemyśleń, przesunięć i ustaleń, a następnie twardej realizacji. Obecnie działa się w mieście na wielu frontach, i to bardzo wycinkowych. Są więc pieniądze na konkretne np. prace drogowe. Moim zdaniem — w przypadku koncentracji pewnych prac w rejonie centrum — zainteresowane tym przedsiębiorstwa drogowe czy budowlane mogłyby tylko okazać zadowolenie. Nie bardziej ekonomicznego, jak działanie na szerokim, zwartym placu budowy. Trzeba tylko przesunąć na nieco odleglejsze terminy inne prace mniej pilne i ważne. Tutaj ojcowie miasta nie powinni się obawiać niektórych głosów przeciwnych np. burzeniu jakiegos domu w centrum, czy odkładaniu na dalszy plan przebudowy którejś z peryferyjnych ulic. Opinia społeczna poznaniaków, jako całości, jest na pewno za szybką modernizacją śródmieścia. W tym przedmiocie władze miejskie — jestem przekonany — mają mocne oparcie w ponad 400-tysięcznej rzeszy mieszkańców, pragnących przecież widzieć wreszcie nowoczesne, funkcjonalne centrum. Porządkowanie śródmieścia musi nabrać rumieńców.

Nie ulega też wątpliwości, że sprawa zbyt powolnego przeobrażania kształtu centrum ma swoje źródła nie tylko w kłopotach finansowych miasta czy kadrowych słabościach zaangażowanych w ten proces przedsiębiorstw. Wydaje się, że nie bez winy są i ci, którym powierza się wstępne projektowanie czy opracowanie ostatecznej dokumentacji. Można także przyspieszać sprawy translokacji przedsiębiorstw i mieszkańców z obiektów mających ulec likwidacji, można wreszcie w szybszym tempie realizować tzw. plany wycinkowe, jak chociażby wspomniana już przebudowa pl. Wolności.

Jakkolwiek by spojrzeć na obecną realizację przebudowy centrum w myśl planu przestrzennego, trudno nie mówić o braku harmonii tak w tej realizacji koniecznej. A nadto — wiele miast naszego kraju zaczyna nas dystansować w podobnej modernizacji, choć znacznie później miały zatwierdzony plan perspektywiczny.

EUGENIUSZ COFTA



Z pracowni
plastyków
poznanskich

Stara
bamberka
(linoryt)

Zbigniew
Keja

Z NIEWYKORZYSTANYCH ZAPISKÓW SPRAWOZDAWCY SĄDOWEGO

Gazeta nie jest z gumy, a informacje o przestępstwach nie są wiadomościami najważniejszymi i dlatego sprawozdawca sądowy nie tylko pisze jedynie o niektórych, wybranych sprawach, ale również pisze zwieźle. To znaczy pomija drugorzędne szczegóły, nawet wówczas, gdy są z różnych względów interesujące. Niezmiennie rzadko nadarza się dziennikarzowi okazja, by w takiej publikacji jak niniejsza hurtem zaprezentować Czytelnikom ciekawostki, które nie trafiły do bieżących kronik sądowych...

*

O wyjątkowym pechu mogą mówić włamywacze Stanisław Z. i Norbert S. Otóż pewne przedsiębiorstwo w Pile otrzymało dwa świadry wysłane diamentami (służące do wiercenia w twardej pokładach). Drogocenny sprzęt — wartości około 3000 funtów szterlingów — został umieszczony w... drewnianej szopie. Włamanie polegało więc na podważeniu i odchyleniu desek. Poszło gładko. O wiele trudniej było spieniężyć skradzione diamenty. Poszukując nabywcy Stanisław Z. zwrócił się do swego znajomego Eugeniusza W. i obiecał mu prowizję za znalezienie kupca. Perspektywa prowizji zmobilizowała Eugeniusza W. Trafił on w końcu do Fe-

liksa F. Ten ostatni wykazał zainteresowanie drogocennymi kamieniami. Nie zniechęciła go nawet kwota 200 tys. zł.

Po kilku dniach doszło do spotkania kandydata na nabywcę z włamywaczami. Ci ostatni zaprezentowali diamenty i zostali... zatrzymani. Okazało się, że Eugeniusz W., chcąc jak najszybciej znaleźć kupca, składał oferty przynajmniej spotykającym ludziom i przypadek zrzucił, iż trafił na oficera MO — Feliksa F.

*

Inaczej niż amatorzy diamentów zdemaskował się 17-letni podpalacz — Stanisław J. Rzecz dzieła się w powiecie poznańskim, w miejscowości J. Funkcjonariusz MO biegł w kierunku planowanej stodoly. W pewnym momencie minął się również z biegnącym, ale w przeciwnym kierunku, młodym człowiekiem. Milicjantowi wydało to się podejrzane i zatrzymał chłopaka, który zaczął coś bezładu i składu wyjaśniać. Śledztwo, a później rozprawa wykazały, że właśnie ten młody człowiek podpalił stodolę. Motywy? Niezwykłe. Pasją życia Stanisława J. było pożarnictwo. Godzinami przypatrywał się strażakom ćwiczeniom. Jeśli tylko zdarzyło się mu być przy pożarze zawsze brał udział w akcji ratowniczej. Ale pożary wybuchają tak rzadko — powiedział — że

zdecydowałem się w końcu spowodować jakiś mały pożar... (straty wyniosły 248 tys. zł — przyp. red.).

*

Marek W. choć dokonał szeregu napadów rabunkowych z bronią w ręku, nikogo nie postrzelił. Kilka lat temu w sposób dla niego charakterystyczny napadł w Poznaniu na placówkę handlową przy ul. Czerwonej Armii. Klienci i personel uszyli nagle spokojni i stanowiący głos Marka W.

— Proszę podnieść ręce do góry i nie ruszać się, bo nie chciałbym zrobić użytku z pukawki.

Karygodne „hobby”

Wszyscy posłuchali wezwania. Wówczas rabus podszedł do kasjerki i oświadczył:

— Niech pani będzie uprzejma przełożyć pieniądze z kasy do tej oto torby. Torba szybko wypełniła się banknotami. Potem kompani Marka W. związali i zakneblowali wszystkich sprzedawców i klientów.

— Myślę, że panie — Marek W. zwrócił się do ekspedientek — nie chciałby zostać w podobnie brutalny sposób potraktowane. Z drugiej strony muszę dbać o bezpieczeństwo moje i moich kole-

gów. Wobec tego ultimatum: nie zostaną panie związane, jeśli dadzą słowo honoru, że nie będą wzywać pomocy przez 20 minut po naszym odejściu.

Panie dały słowo honoru. MO została zawiadomiona o napadzie dopiero po 30 minutach. Tym razem Markowi W. udało się, ale wkrótce po następnym napadzie został ujęty w pociągu jadącym do Warszawy.

*

Andrzej P. założył w Poznaniu placówkę p. n. „Centrala Usługowo-Wytwórcza”, której zadaniem — jak głośno głośno głosił regulamin — było „wzmocnienie produkcji usług, których zaspokojenie na rynku wymaga znacznej rozbudowy”. Nie mając ani odpowiedniego kapitału zakładowego, ani urządzeń, ani też pracowników fachowców (całymi miesiącami w „Centrali” obok radcy prawnego zatrudnieni byli: przyjacielka Andrzej P. i dwóch jego synów) podjął się m. in. produkcji na eksport. Z „Prodimexem” zawarł umowę na dostawę 50.000 kg krzemionki koloidalnej technicznej wartości 705 tys. zł (dysponował jednak innym surowcem — tzw. mączką krzemową wartości... 91 tys. zł). Do transakcji nie doszło, bo francuski przedsiębiorca, który poprzednio wyraził chęć kupna krzemionki, nagle z niej zrezygnował. „Prodimex” odmówił zaś przedpłaty z tytułu umowy. W odpowiedzi Andrzej P. wniósł pozew do sądu o zapłatę 705 tys. zł. Przestraszony tym

„Prodimex” znalazł nabywcę. Była nim spółdzielnia, która po zastosowaniu produktu dostarczonego przez „Centralę” stwierdziła gwałtowne obniżenie jakości swej produkcji. Zawiadomiony o tym został prokurator i tak się skończyła wszechstronna działalność Andrzeja P. (dowodem wszechstronności może być fakt, że podczas rewizji znaleziono w mieszkaniu dyrektora „Centrali” ponad 100 filmów krótkometrażowych, wśród których nie brakowało unikalnych, np. tematów jednego było wyzwolenie Poznania).

Na rozprawie Andrzej P. oskarżał niemal cały świat. Nie jestem narodowości polskiej — stwierdził m. in. — i dlatego zaszczuto mnie, by zaś zachować pozory legalności — sfabrykowano proces.

*

Jest to dość częsty sposób obrony — epartej na zasadzie: najlepszą obroną jest atak. Podobny chwyt zastosował w ub. roku pewien poznański lekarz, któremu udowodniono w sposób nie budzący wątpliwości wyłudzenie na szkodę aptek leków wartości 73 tys. zł (lekarstwa pobierał na recepty wystawione na nazwiska swych pacjentów-rentistów). Kiedy na procesie świadkowie zeznawali obciążając oskarżonego reagował na to jedynie rozkładaniem rąk. Co pewien czas składał natomiast oświadczenia, w których podkreślał, że od wielu lat jest prześladowany przez wszechpotężną klikę, przez „tajemniczą rękę”, której dziełem jest właśnie wtrącenie jego — poznańskiego Judy — na ławę oskarżonych.

SPRAWOZDAWCA SĄDOWY

Grudzień był dla zachodnio-niemieckiej prasy, urabiającej NRF sławę „pokojowej”, miesiącem rocznicowych wzdychuszek.

Ubiegłorocznego 1 grudnia powstał w Bonn chadecko-esdecki rząd Kiesingera. Także ubiegłorocznego 13 grudnia, tenże były goebbelsowski-ribsbentropowski specjalista od dywersji propagandowo-politycznej, wygłosił jako głowa wielkokoalicyjnej ekipy rządowej NRF, expose, programujące m. in. w ostatecznym kształcie tak zwaną „neue Ostpolitik”.

Ta rzekomo nowa wschodnia polityka okazała się niewypałem. Wydawać by się więc mogło, że jej złą jakość zauważył rocznicowo także prasowy zachodnioniemiecki. Gdzie tam! Raczej korzystano z okazji, by utyskiwać na... złych Polaków. Jako ponoszących główną winę za fiasko „nowej” polityki imperializmu niemieckiego wobec krajów Europy wschodniej.

Ograniczając się do reprezentacyjnego dziennika wydawanego przez największy z zachodnioniemieckich (a nawet zachodnio-europejskich) koncernów prasowych — „Die Welt”, zacytujmy tylko jego pretensję:

„Dlaczego Warszawa odrzuca każdą próbę Bonn u-normowania stosunków między obu narodami?”

Można oczywiście tylko wzruszyć ramionami na sformułowanie „między obu narodami”.

Jakkolwiek by było, pomiędzy Odrą i Łabą żyje 19 mln. Niemców.

Z tymi zaś Niemcami — obywatelami Niemieckiej Republiki Demokratycznej, mamy unormowane stosunki. Od dawna już pomiędzy PRL a NRD rozstrzygnięte zostały wszelkie sprawy graniczne. Rozwiązujemy coraz pomyślniej, z obustronną korzyścią, wszelkie problemy dobrosąsiedzkiego współżycia. Współdziałamy nawet aktywnie, po przyjacielsku, przeciwko groźnemu zarówno dla nich jak i dla nas niebezpieczeństwu jeszcze jednej rzezi wojennej. Przeciwno ponownemu rozpanoszeniu się nad Europą środkową i wschodnią, tych sił, które zanim jeszcze mogły pokryć największymi cmentarzyskami właśnie Polskę, zademonstrowały swą super-zbrodniczość właśnie na terenie Niemiec.

A więc nieprawdą jest, że jesteśmy przeciwni normalizacji stosunków pomiędzy narodami polskim i niemieckim.

A ponadto nie jest też prawdą, że odrzucamy „każdą próbę” normalizacji stosunków także z tą częścią narodu niemieckiego, której stolica

państwa jest Bonn. Trudno bowiem mówić o „każdej próbie”, jeśli po dziś dzień gabinet boński demonstruje z uporem stada osłów tylko jeden wariant „próby”. W dodatku taki, który już z góry oceniany być musiał w Bonn (chyba nawet przez eksbuddowniczego hitlerowskich obozów koncentracyjnych, marionetkowego prezydenta NRF Luebkęgo), jako antypróba porozumienia.

✱

Zanim jeszcze w miejsce Erharda — jako zbyt mało elastycznego kontynuatora polityki wschodniej Adenauera — kanclerzem został Kiesinger, w Bonn mówiono już o potrzebie nowej Ostpolitik. I wówczas to nawet co „podrzedniejszy” urzędnik bońskiego MSZ mógł się dowiedzieć choćby z prasy, (jakie są nasze polskie warunki, których spełnienie mogłoby nas przekonać. Wszakże postulowaliśmy otwarcie, aby NRF uznała obecne granice w Europie, a zwłaszcza granicę na Odrze i Nysie; aby zaniechała uzurpatorskich roz-

wieć wciąż dąży do tego, by przez „zjednoczeniową” likwidację NRD stworzyć warunki do cofnięcia antyimperialistycznych przekształceń dokonanych już w Niemczech między Odrą i Łabą. A więc pragnie unicestwienia także owoców naszego narodowego zwycięstwa 1945 roku, wyrażających się nie tylko w przywróceniu wraz z granicami państwowymi pełnej polskości ziemiom padłym niegdyś ofiarą „Drang nach Osten”, lecz także w nowym kształcie ustrojowym odrodzonego państwa polskiego.

✱

Osobiście nie dziwię się, że solą w oku bońskich polityków i ich propagandystów są w równym stopniu nadodrzańskie słupy graniczne, jak i ludowy ustrój Polski. Bowiem nie było i nie ma abstrakcyjnej Polski. Była Polska szlachecka, „stojąca niezłomnie”, sprzyjająca grabieżczej polityce Fryderyka II. Była Polska burżuazyjno-obszarnicza, która też nie zdołała zabezpieczyć niepodległości

✱

narodowej wobec Hitlera. Jest Polska Ludowa, która wbiła słupy graniczne wzdłuż Odry i Nysy, a zarazem swym ludowym ustrojem przeobraziła dotychczasowe plagi szlacheckiej Polski: obalając też swymi reformami społeczno-politycznymi „święte prawo własności” junkiersko-burżuazyjnych kolonizatorów, czyli... raz na zawsze pozabawiła imperializm niemiecki możności wywierania jakiegokolwiek (choćby tylko naciskami ekonomicznymi), wpływu na losy międzyrzeccza Odry i Wisły. Ponadto swą polityką sojuszu z innymi krajami socjalistycznym, zwłaszcza z mocarstwem radzieckim, przyczynia się do układu sił, krzyżującego bońskie rozwiązania problemów wschodnio-europejskich z pozycji siły.

Nawet „Die Welt” przyznaje volens nolens, ubolewając z powodu fiaska kiesingerowskiej „Ostpolitik”: „Polityka polska (podkr. M. O.) okazuje się jedną z najwielkich, narastających przeszkód...”.

Tym bardziej zdumiewa zdziwienie wyrażone w cytowanym na wstępie zdaniu. Przecież redakcji „Die Welt” dobrze wiadomo, dlaczego „Warszawa” odrzuca „próbę” rzekomo nowej polityki wschodniej reżimu bońskiego. O tyle nowej, że polegającej na przyodziewaniu starej zbroi antypolskości komtura — Adenauera w kuso skrojony surducik pięknych słów Kiesingera.

Po prostu polityka Warszawy jest polska.

Bernarda Łuczewskiego — dyrektora Poznańskiej Wytwórni Protez, niełatwo „złapać” na rozmowę w dniach poprzedzających rocznicę Powstania Wielkopolskiego. Oprócz obowiązków zawodowych ma on bowiem jako długoletni aktywny działacz ZBoWiD-u, członek Rady Naczelnej tej organizacji oraz przewodniczący Komisji Krajowej Powstańców Wielkopolskich — wiele obowiązków społecznych. Któż jednak z nich — uczestników wielkopolskiego zrywu powstańczego — oprze się chęci powrotu, we wspomnieniach, do tamtych grudniowych dni 1918 roku. Wspomnieniami tymi sprzed pół wieku podsyłali oni przecież patriotyzm synów tej ziemi. Powstańcy Wielkopolscy byli też pierwszymi, którzy w 1945 roku stanęli do odbudowy zniszczonego kraju.

— Jakimi drogami trafił Pan do szeregów powstańców?

— Miałem wówczas 16 lat. Byłem członkiem drużyny harcerskiej, która tak jak cały ówczesny skauting poznański, przygotowywała swych członków do udziału w walce zbrojnej. Powstanie było bowiem przygotowywane na długo przed jego wybuchem. Przeszedłem przez szkolenie gońca bojowego. Już od połowy grudnia pełniłem dyżury w pogotowiu POW, znajdującym się w siedzibie ówczesnej Biblioteki im. Krąszewskiego przy Starym Rynku. Z chwilą wybuchu Powstania ruszyliśmy na miasto. Podobnie jak wielu moich kolegów, byłem gońcem pomiędzy walczącymi oddziałami. Po zdobyciu koszar przy ul. Solnej zostałem na 10 dni przydzielony do służby powstańczej na dworcu. Rozbrajaliśmy tam żołnierzy niemieckich. Powstańcom potrzebny był każdy bagnet. 14 stycznia wstąpiłem do zwartej jednostki wojskowej — I Kompanii Poznańskiej, którą dowodził Jan Kąkolowski. Po krótkim przeszkoleniu ruszyliśmy na front walk powstańczych pod Kąkaniem. Tam w bitwach prowadzonych wzdłuż Noteci przetrwaliśmy do końca powstania. Zginęło tam kilku moich serdecznych druhów. Między innymi syn sławnego wówczas w Poznaniu mistrza tańca — Mikołajczaka.

— Po zakończeniu Powstania wrócił Pan do domu...

— Nie podobnego. Jak wielu z nas zostałem w wojsku. Przecież o wojsku polskim marzyliśmy wszyscy — my, nasi ojcowie, dziadkowie. Służyłem najpierw w 3 Pułku Lotniczym, a potem w II Baonie Radiotelegrafistów, z którym brałem udział w maju 1921 roku w walkach na froncie trzeciego Powstania Śląskiego.

— Bogata jest Pana karta żołnierska, bo — jak wiemy — Pan również uczestnikiem walk o Cytadelę, w lutym 1945 roku.

— Taka jest karta żołnierska tysięcy powstańców wielkopolskich, a w okresie drugiej wojny światowej uczestników ruchu oporu, więźniów Fortu VII i Zabikowa, Cytadelowców. Z kas... cy przy ul. św. Marcina 56, gdzie mieszkałem podczas oku-

NASZE ROZMOWY

Trzy pasje wielkopolskiego powstańca



Bernard Łuczewski
Fot. — K. Przychodzki

pacji, poszło 21 lutego 1945 roku na Cytadelę 18 mężczyzn. Byli to jak pamiętam: ojciec i syn Górcy, dwóch braci Kosowskich, dwóch Kilińskich i Samelaków, Antoniewicz, Jasiński i inni. Ja miałem wtedy polecenie, od nowo tworzących się władz miejskich jak najszybszego uruchomienia Wytwórni Protez, w której pracowałem od 1923 roku. Ale ta sprawa musiała parę dni poczekać. Jako Powstańca Wielkopolski nie mogłem nie pójść na Cytadelę. Walka o wolność jest bowiem obowiązkiem najwyższej rangi.

— Wiemy, że ma Pan dwie pasje. Ortopedię i działalność społeczną wśród starych towarzyszy broni. A może jest jeszcze trzecia?

— A jest. Są nią trzy moje wnuczki. Najstarsza — Iłona ma 15 lat, a 9-letnie bliźniaki Hanka i Mariola — urodziły się w tym samym dniu, kiedy na 40-lecie Powstania Wielkopolskiego otrzymałem Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski. Córka nazywa dziewczynki „gwiazdkami ojcowskiego orderu”. A one są po prostu — jak cała nasza młodzież — prądkami dalszej historii Wielkopolskiej Ziemi.

Rozmawiała: BARBARA MOSIEŻNA

Zbigniew Mika

Dolina słońca „Sonni” i „Pico” Kilka dni w NRD



Ileż to razy powtarza się scena: — „Tato, kup mi kolejkę. Taką na szynach, elektryczną”. Tato się opiera, ale w końcu przelicza zaskórniaka i spełnia synowską prośbę. Co potem? Wróciwszy z pakietem „Pico” każe położyć syna spać i... sam zabiera się do zabawy w kolejarza; syn przecież może te cacka popsuć.

Takich „okropnych” ojców jest wielu. Ba, w NRD (podobnie jak w innych krajach) tworzą oni kluby kolekcjonerów, organizują spotkania i demonstracje swoich zbiorów, wymieniają doświadczenia i modele. Króluje tu kolejarz sprzątnięty „Pico” z Sonnenbergu, miasta zabawkarzy.

Sonnenberg, to uroczyste miasteczko na skraju Turynii. Wtulone w głębokiej kotlinie pnie się uliczkami aż do podnóża lesistych, oblanych słońcem gór. Ludzie tu pogodni i spokojni, rzekłbyś poetyczni. I może dlatego miejscowość nazwano kiedyś „słoneczną górą”. Tu także od dawna zajmowano się robieniem zabawek.

Rodowód zabawkarskiej przeszłości miasteczka, pielęgnowanej z ogromnym petyzmem — jest zupełnie bezbarwny i rzeczowy: obfitość okolicz-

nych lasów stwarzała tu rzemieślnikom dogodny warunki surowcowe. Romantyzm zabawy, dziecięcego uśmiechu i radości bardziej kojarzy się ze słoneczem, leśnymi bajkami i legendami niż z prozą roboty drwała, tartacznych bali i warsztatu stolarza. Ale byłoby to tylko jeden punkt widzenia. Z drugim na pewno nie tak romantycznym, lecz rzeczowym zapoznaje nas jedno z nielicznych w Europie — Muzeum Zabawek w Sonnenbergu.

Na dwóch piętrach obszernego budynku rozmieszczono tu tysiące eksponatów z różnych epok, od 2—3 wieku przed naszą erą począwszy. Są tu więc egipskie laleczki wydłubane z kamienia, greckie zwierzątka z alabastru, rzymskie miniaturowe amfory z porfiru. W jednej z gablot można zobaczyć łańcuszki i rzemyki z zawieszonymi łebkami pajacyków — służące zabawie niemowląt, w innej — grzechotki z łupiny orzecha i maskotki z kości i muszelek.

W ekspozycji wieków średnich pojawia się zabawka ceramiczna (lalki gliniane) i metalowa. Z czasem coraz więcej przedmiotów jest z drewna, masy papierowej i porcelany, coraz więcej pomysłowych wzorów. W 18—19 wieku powszechne są już zabawki ruchome i składane. Wśród eksponatów znaleźć więc można wiatraczek z piór (takie dziś robi się z kolorowego celuloidu i drutu), lalki o zginanych kończynach i instrumenty muzyczne.

✱

Jedno jest dla tych eksponatów wspólne, bez względu na epokę i wiek, kulturę i kontynent: tematy zabawek. Zawsze powtarzają się — pod każdą szerokością geograficzną — te same motywy: lalki, konie, psy, ptaki i niektóre przedmioty codziennego użytku. Jedynie dawne zabawki chińskie i japońskie mają nieco inne zdobnictwo i formy wyrazu artystycznego.

Tu widać jak na dłoni, że o tym, czym bawili się dzieci, decydowały środki wytwarzania: narzędzia, su-

rowce i opanowanie rzemiosła. Na karierę zabawek z Sonnenbergu wpłynęły lasy Turynii. Zaczęła się ona gdzieś w XVII w. Najpierw robiono tu lalki całe z drewna. Z czasem wprowadzono elementy (główki) z masy papierowej i porcelany. Lalki naśladowały wówczas damy dworu, były bogato odziane i dekorowane. Lalka przedstawiająca dziecko pojawia się nieco później, początkowo również jako mała dama dworska, o wyrazie twarzy osoby dorosłej.

Lalki z Sonnenbergu (na nich najlepiej widać ewolucję zabawek) wędrują na całą Europę. W ubiegłym stuleciu jest to już jedno z centrów niemieckiego przemysłu zabawkarskiego, z własną szkołą zawodową, z licznymi manufakturami, podziałem pracy i specjalizacją warsztatów. Dzisiaj tradycję tę kontynuuje przedsiębiorstwo państwowe VEB „Sonni” i wiele zakładów półpaństwowych oraz prywatnych. Eksport przynosi miliony marek.

W muzealnej ekspozycji z XIX wieku wyraźnie widać zmiany zachodzące nie tylko w technice produkcji zabawek, ale i w stosunkach społecznych Europy. Oto lalka — dama zmienia powoli strój na mieszczański, pojawiają się miniaturowe narzędzia, a liczne figurynki przedstawiają ludzi przy pracy. Zabawkom stawia się zadania kształtowania ideałów w stylu burżuazji. Zachowały się do dziś i są w muzeum domki lalek, przedstawiające realistyczne wnętrza mieszkających, kukiełki służby podającej do stołu, gospodarki czyniących honory domu i wyfraczonych gości. Idealne przedszkole dla ówczesnej Hausfrau z dobrego domu.

Wiele się zmieniło w zabawach dzieci, ale dotychczas można mówić tylko o ewolucji zabawek. Dopiero tworzywa sztuczne (a więc nowe surowce i technika) wywołały rewolucję. Otworzyła się nowa era dla zabawkarskiego przemysłu. W sonnenberskim muzeum, przedostatni dział poświęcono więc współ-

czesności: przebogatej, barwnej, o praktycznie ogromnych możliwościach form i modeli, a co ważniejsze — o nieograniczonych możliwościach ilościowych.

Z tworzyw można produkować dużo i pięknie, szybko i tanio. Okazji tej w Sonnenbergu nie przeoczono. 800-osobowa załoga VEB „Pico” pracuje na dwie zmiany, techniką wielkich nowoczesnych fabryk: specjalizacją, podziałem pracy i taśmową produkcją. Tyle, że na tych taśmach lokomotywy i wagony w miniaturze: dziesięciokrotnie mniejsze od oryginalnych — pralki, maszyny do szycia, roboty kuchenne i miksery. W jednej ciężarówce takich lokomotyw mieści się tysiąc, ale kontrola techniczna każdego modelu — jakby to nie były zabawki — dokładna i surowa.

Pełno tych znakomitości nie tylko w NRD i w Polsce. Można je zobaczyć w całej Europie, bo „Pico” śle swoje wyroby do 40 krajów.

✱

Spacer po muzeum kończy się na oddziale zabawek przyszłości. Jak je sobie wyobrażają specjaliści? Dość zwyczajnie, w postaci rakiet kosmicznych, pojazdów księżycowych, domków dla przyszłych mieszkańców odległych planet. Czy tak będą one wyglądały? Trudno odgadnąć. Myślę wszakże, iż znowu decydujący głos zabiorą surowce i technika wytwarzania. One to, jak i w latach minionych narzucały nowe formy i modele przedmiotów dziecięcej radości.

Nie bez znaczenia jednakże będzie fakt, czym dziś bawią się dzieci NRD, czym dzisiaj bawią się nasze dzieci. Niechybnie precyzyjne, o wysokiej technice modele „Pico” są tym małym, ale niezwykle ciekawym kroczkiem naprzód do nowoczesności. Więcej przeto takich zabawek pod choinkę. Zachęcam.

W bamboszach na meczu

Czy ja nerwy w totka wygrałem? Już mnie tam panie nie gdy nie zobaczę. Wyciągnie człowiek ostatniego zaskórniaka, zmarnie, denerwuje przez półtorej godziny, spóźni się na obiad w niedzielę (ile się trzeba za to nasłuchać) a te łamagi pozwolą sobie dwa gole wcisnąć. I to jak? Dzieci by panie lepiej zagrały. Nie, już nigdy... Monolog zawodzonego i rozżalonego kibica był coraz bardziej kwiecisty a każde następne zdanie mogłoby słuchającego utwierdzać w przekonaniu, że sport stracił jeszcze jednego wielbiciela.

Po tygodniu znowu spotkał się na trybunach. Dowiedziałem się wtedy, że w domu by nie wytrzymał do dzisiejszego przeciwnik musi przecież przegrać. Jest bowiem o trzy miejsca niżej w tabeli, bo w naszej drużynie na dziś jest mecz... itd. Od lat te same nadzieje, zapewnienia, zawody i powrót na trybuny.

Takich są miliony. Spotkanie ich na wielkich stadionach i małych boiskach LZS-ów. Pojadą za swoją drużyną na drugi koniec Polski bez względu na warunki i koszty. Zawsze z nadzieją, że dzisiaj będzie „nasz” dzień. Stadion jest dla nich teatrem, który ma tę przewagę nad innymi widowiskami, że przedstawienie jest niepowtarzalne, finał niezany, że tego spektaklu nikt nie reżyserował, że ława stadionu jedno czy wszystkich, co na niej zasiadli bez względu na wykształcenie i stan, że pozwala wyrażać swe opinie i sądy na gorąco, niemal brąc współludź w tym przedstawieniu.

Tymczasem na horyzoncie pojawił się groźny wróg stadionowych trybun, masowy powielacz kibiców, czyli telewizja. Mając dostęp do wielu mieszkań, nawet tych najintymniejszych czterech ścian, w których toczyło się życie według własnego schematu, telewizja zaczęła masowo produkować nowych odbiorców filmu, teatru, muzyki, poezji i oczywiście sportu. Swoisty jest to rodzaj odbiorcy. Śmiem twierdzić, że niewielu wyciągnęło tu z tych czterech ścian i wprowadziła na widownię teatru, sali koncertowej czy imprez sportowych. Ludzie bardziej lub mniej przyzwyczajeni do pewnych programów, zaczęli dobierać według własnego gustu czy nowych zainteresowań, ale nie ruszyli się ze swego fotela. Przy pomocy kamery znaleźli się w bamboszach i z fotelami na tych stadionach, na których dzieją się rzeczy najciekawsze. Stali się już koneserami, zna ją nazwiska, zespoły, przepisy, mi mo że nigdy na prawdziwym stadionie nie byli i obawiam się, że nie będą.

Narodziła się nowa społeczność kibiców, ludzi związanych ze sportem przez szklany ekran. Liczebnie stanowi ona większą grupę od tzw. czynnych kibiców. Są w niej również tacy (nie przesadzę jeżeli li powiem, że spory procent), którzy nie chodzą na imprezy, gdyż nie bardzo wypadało pokazać się na trybunach prozaicznego obiektu sportowego. Ich ambicje sięgały wyżej niż zainteresowania sportem. Te ambicje jednak nie przeszkadzały im entuzjastycznie się meczami na 23-calowym boisku w kanale 9.

Albo weźmy nasze babcie. Która z nich była na lodowisku pod czas pokazów łyżwiarskich? Na palcach zliczyć. A zapytajcie kto to są Bielousowa i Protopopow. Usłyszycie nie tylko odpowiedź, ale całą orację na temat: jakie to piękne i kiedy będą następne mistrzostwa w łyżwiarstwie figurowym.

Trzeba być zdecydowanym wrogiem sportu, żeby oprzeć się pokusie oglądania na telewizorze olimpiady, wyścigu pokoiu, mistrzostw Europy w niektórych dyscyplinach, czy piłkarskich spotkań międzynarodowych. Słabszego porwie ta machina w swe tryby i na pewno zniewoli.

Dla wielu szklany ekran jest jedyną szansą uczestniczenia w porwijających widowiskach sportowych. Dobre i to. Od biedy tu zastąpi również teatr i kino, ale telewizyjna kamera nie zastąpi sportowcom tłumy. Atmosfera wielkich stadionów ma bowiem swoisty urok i siłę. Sportowcy twierdzą, że źle się gra na płaskich stadionach, na których lagodna niecka oddalona jest od boiska. Mówią, że nie ma wtedy kontaktu z widownią. A czy inaczej nie czuje się aktor w operze a inaczej w hali targowej? Najgorzej chyba przed metalowym pudłem z wycelowaną w niego łufą obiektywu kamery.

Aktorzy i sportowcy mają z sobą wiele wspólnego. Oni potrzebują widowni i widownia potrzebuje ich. Prawdziwy kibic traktuje jednak telewizję tylko jako ostateczność. Krąży po świecie niezliczone dowcipy o przysłówie wim skąpstwie Szkotów. A pamięć tacie ubiegłoroczny finał Pucharu Europy w piłce nożnej na stadionie Benficy w Lizbonie? Przez 24 godziny kilkanaście samolotów tworzyło most powietrzny przerzucając 12 tysięcy kibiców z Glasgow do Lizbony. Polscy Szkoci za swoim Celtice. A polskich kibiców w Budapeszcie podczas lekkoatletycznych mistrzostw Europy pamiętacie? Kto liczył tysiące miłośników piłki nożnej, którzy z całego kraju jechali do Chorzowa na mecz Górnika Zabrze z Dynamem Kijów?

Powie ktoś: to przecież nie jest żadnym odkryciem Ameryki. Oczywiście. Przede mną był Kołumb. Chcę jednak wyrazić swój podziw na kibicowanie, powie, że to jest wysoko sobie cenienie telewizyjnej usługi sportowej i to, że dzięki tv zainteresowanie sportem zwiększyło się ogromnie w naszym społeczeństwie. Chcę jednak powiedzieć także, że sercem jestem przy tych, którzy tworzą atmosferę na stadionach, są osobiste wszędzie tam, gdzie toczy się sportowa walka. Bez kibiców stadiony byłyby kamiennymi pustyniami na których 22 facetów kopaloby kawałek skóry z nadmuchaną dętką. Bez żywo reagującego tłumu, widowisko byłoby szare i bezbarwne.

może podniesione ciśnienie krwi i palisz dziennie paczkę papierosów: uważaj — jeśli nie masz czterdziestki jesteś doskonałym kandydatem na zawał serca. Jeśli poza Tobą jest już 40 lat. Istnieje 50 procent szans na to, że choroba serca lub układu krążenia skróci Twoje życie.

Brzmi to jak wyrok. Ale taka jest prawda stwierdzona przez naukę. Żeby jednak nie przerażał czytelników spieszmy się przytoczeniem innego, bardziej pozytywnego stwierdzenia z tego szkie. Oto słynny chirurg Norman Shumway stwierdza:

„Za dziesięć lat przeszczepianie serca będzie równie częste i skuteczne, jak obecnie przeszczepianie nerek”.

Pod koniec XX wieku — dodaje Iłowicki — wielu ludzi będzie mogło żyć tylko dzięki temu, że w ich piersiach znajdzie się sztuczne lub cudze serce.

Zanim jednak do tego dojdziemy, warto zdać sobie sprawę z paru podstawowych prawd.

▲ W krajach wysoko uprzemysłowionych, przyczyną prawie połowy zgonów są choroby serca i naczyń, po nich największe żniwo zbiera rak, na trzecim miejscu są nieszcześliwe wypadki; w Polsce co czwarty obywatel umiera na serce.

To rozwój cywilizacji zmusza nas do

„BŁĘDNE GWIAZDY WIELKIEJ NIE-DZWIĘDZICY” — film produkcji włoskiej. Scenariusz: S. C. d'Amico, L. Visconti, E. Mediol. Reżyseria: Luchino Visconti. Zdjęcia: Armando Nannuzzi. Wykonawcy: Sandra — Claudia Cardinale, Gianni — Jean Sorel, Andrew — Michael Craig, matka — Marie Bell, Giardini — Renzo Ricci, Pietro — Fred Williams, Fosca — Amalia Troiani. Film nagrodzony Złotym Lwem na MFF w Wenecji w 1965 r.

Visconti zaliczany jest do najwybitniejszych twórców kina włoskiego i światowego, to on przy czynił się walcie do powstania po wojnie włoskiego neorealizmu, kierunku tak płodnego w osiągnięcia ideowe i formalne. A przecież nigdy nie zdobył żadnej większej nagrody. Otrzymał ją dopiero za „Błędne gwiazdy”, film, który wywołał w Wenecji co najmniej tyle głosów potępienia, co zachwytu.

Bo też jest to film dziwny, niejednorodny stylistycznie, w którym jedna ekstrawagancja depcze po piętach drugiej. Visconti daje filmowi pretensjonalny, niezrozumiały tytuł (dlugo nie chciał go zaaprobować producent), ujmuje fabułę filmu w kształt nowoczesnej transpozycji starożytnego mitu o tragedii rodu Atrydów (lepiej znanego jako mit o Elektrze), operuje w filmie zarówno środkami filmowymi jak i teatralnymi, bezceremonialnie przechodzi w nastrój od filmu grozy do melodramatu. To pomieszczenie różnych rzeczy wywołało najwięcej głosów sprzeciwu.

Jednakże mam wątpliwości czy taka krytyka jest słuszna. W końcu jakie ma to znaczenie, że w filmie stosuje się także środki teatralne, jeśli efekt końcowy jest znakomity, jeśli więc robi się to dobrze. W każdej dziedzinie sztuki nie to się liczy, w jakim stylu ktoś tworzy, tylko jak to robi. Visconti zaś na pewno zna swoje rzemiosło i w „Błęd-

Mieczysław Skąpski

FILM

Ekstrawagancja w wielkim stylu

nych gwiazdach” ponownie dowodzi nam swego mistrzostwa (po „Ziemia drzy”, „Najpiękniejszej”, „Zmysłach”, „Białych nocach”, „Roccu i jego braciach” oraz „Lamparcie”). Historia tej rozbitej rodziny, w której zda się przez pokolenia nawarstwiały się kompleksy, niepokojące uczucia, kazirodce namiętności, zbrodnicze instynkty, by teraz ujawnić się w całej okazałości — ta historia przejmie widza głęboko. Visconti stworzył właściwą dla opowiedzenia tej historii atmosferę, mroczną, zawalowaną, tajemniczą, pełną niedopowiedzeń. W filmie mówi się o strasznych rzeczach, ale z jakim taktem, z jaką powściągliwością i delikatnością. I to dla akcji filmowej jest też znakomicie dobrane. Ten dziki, posępny ogród tak świetnie fotografowany w scenie nocnego spotkania Sandry z bratem Giannim, ten wielki stary dom, a właściwie pałac, przeładowany starymi meblami, to miasto rozsypujące się w proch i gruzę ze starości — wszystko tu współgra z ludźmi uwikłanymi w tragedię.

Visconti stworzył atmosferę, w której człowiek się dusi, w której brak powietrza, brak słońca, brak uśmiechu. Trudno w takiej atmosferze żyć i w rezultacie widz nawet się zbyt nie dziwi, gdy dochodzi do tragicznego końca. Bo ta rzecz nie mogła się przecież dobrze

skończyć! Niewiele znamy dzieł filmowych, w których reżyser z takim mistrzostwem i tak swobodnie obracałby się w świecie spraw, które wydają się nie do opowiedzenia, a już szczególnie nie do wyrażenia obrazem. Visconti udowadnia, że o wszystkim można mówić i wszystko pokazać, byle mieć talent i znać swoje rzemiosło.

Wiele dobrego chciałoby się powiedzieć o aktorach. Wszyscy tu, grają bardzo dobrze, wszyscy są obsadzeni we właściwych rolach, odpowiadających ich możliwościom zewnętrznym i wewnętrznym. Każdy tu nosi swoje sprawy, swój dramat i swoją indywidualność tak wyraziście, że pojawienie się danego aktora momentalnie daje znać widzowi o wszystkim, co się w nim kryje; każde wejście aktora jest tu niezmiennie celowe, wnosi ono do akcji bardzo wiele nowych treści. Jeszcze nigdy bowiem Visconti nie komponował fabuły w sposób tak skondensowany. Dlatego też film jest tak krótki, najkrótszy z wszystkich filmów Viscontiego słynnego z „tasiemców”.

Film tego typu nie jest oczywiście najłatwiejszy w odbiorze. Wszakże polecam go miłośnikom kina z całym przekonaniem. Robi on wrażenie duże i chyba nie rozczaruje nikogo.

DZIECI WUJEK FABRYKA I JA

Dokończenie ze str. 1

danie dzieci tam, na Starolecie. I to otoczenie! — mówi pani Przybylska. — Stopniowo nauczyliśmy Urszulę gospodarowania, mąż bywał u nich o przeróżnych porach dnia i wieczora.

— Ja wtedy byłem przed maturą — wtrąca 20-letni Mieczysław w nowiuteńkim mundurze podporucznika wojsk łączności. — Chodziłem do „Paderki” przy ulicy Kościuszki. Miałem wychowawcę z prawdziwego zdarzenia, który był zarazem dyrektorem Liceum, a mnie uczył łaciny. Nazywał się Głowiński. Ostry, ale sprawiedliwy. No i kiedzy: Andrzejewski, Sikorski, Kiełczewski. Przyjaźniliśmy się nadal. W takiej atmosferze matura przeszła pomyślnie.

Urszula, „średnia”, ma usposobienie jak żywe srebro, w przeciwieństwie do rozważnego i nie pozbawionego flegmy Mieczysława. Szykownie ubrana, ruchliwa, nie została fryzjerką, jak radziły ciocię; skończyła Zasadniczą Szkołę Handlową, trafiła do sklepu „Textil” przy ulicy Walki Młodych pod opiekę energicznego kierownika, kształci się dalej w Liceum dla Pracujących, jest już samodzielną i — jak brat Mieczysław — zarabia.

— Bożenka — ona jedna jeszcze nie jest pełnoletnia, na nią nadal

łoży załoga „Stomila”, choć i Mieczysława, gdy skończył 18 lat, a uczył się dalej w Oficerskiej Szkole Łączności, do której go zresztą rekomendował „Stomil” — uchwalono wspomagać dalej, aż do dnia promocji. Więc Bożenka skończyła osiem klas i zapisała się do Zasadniczej Szkoły Gastronomicznej...

☆ Szukam tytułu, mogącego oddać to, co chciałbym przekazać czytelnikom o losach rodziny Nitschke i wielkiej trosce załogi. Dzieci fabryki — socjalistyczna rodzina — przykład społecznej postawy? Wszystko to zdaje mi się sztuczne, napuszone i niepełne.

A nie wspominałem jeszcze o bardzo licznych — obok wysiłku opiekuńczego — przejawach troski ze strony fabryki. Ciężarówka na przeprowadzkę. Uroczyste wręczenie kluczy. Bezpłatny udział w rodzinie Nitschke w zakładach wycieczkach. Darmowe, dwumiesięczne, pobyty Bożenki na koloniach, a Urszuli i Mieczysława na obozach młodzieżowych. Niezliczone odwiedziny przedstawicieli załogi, nieraz — nie z pustymi rękoma. Dożadne przejawy pomocy, nie rejestrowane przez nikogo.

I potem w parę dni od momentu, gdy na rynku generał Grzegorz Korczyński promował Mieczysława na oficera, spotkanie w „Stomilu”. Zebrał się kierowniczy aktyw fabryki. Co tu gadać, starsi pracownicy mieli trudności z opanowaniem wzruszenia, gdy przemówił dyrektor Tomasz Gorączniak, jeden z tych, którzy mniej więcej w tym samym czasie, co zmarli rozpoczynali robotę przed wojną w fabryce:

— Postanowiliśmy obywatelowi podporucznikowi Mieczysławowi Nitschke przyznać z okazji promocji nagrodę 2000 złotych. Ponadto zakład funduje dla najmłodszej, Bo-

żenki Nitschke, oszczędnościową książeczkę mieszkaniową, by do tychczas zajmowane mieszkanie służyło w przyszłości wyłącznie pełnoletniej już Urszuli.

Kawa. Lampka wina. Kwiaty. Dziewczęta pochlipują. Młody oficer jest do głębi poruszony, gdy ma zabrać głos. Dziękuję i nie wie jak zapewnić, iż chciałby mieć sposobność okazania swej wdzięczności i opiekunom, i załodze.

Wzruszeni są i Przybylscy — wuj i ciotka. No tak, ich rola zbliża się ku końcowi. Chociaż — nie. Mieczysław służy w wojsku, ale pozostały dziewczęta. I pozostał nawyk rodzinnego współżycia.

☆ Wertuję kartotekę Mieczysława i Rozalii Nitschków, nie żyjących członków załogi „Stomila”. Spoglądam na wyblakłe nieco zdjęcia, on — mężczyzna o rysach mocnych, ze spłaszczonym lekko nosem trafił do fabryki w 1931 roku. Zginął w przededniu 30-lecia stomilowskiego stażu. Ona odeszła w dwa lata później.

Nie wiem, jaka mogła być ostatnia myśl Mieczysława Nitschkego, ale jeśli to była myśl o dzieciach, to niech mi wolno będzie stwierdzić, że trafiły one w dobre ręce. Pokierowali nimi przyjaźni ludzie, ludzie nowego czasu.

WIESŁAW PORZYCKI



tym nie tak dawno też chyba jeszcze nikomu się nie śniło.

Bądźmy więc mimo wszystko dobrej myśli. Przede wszystkim dbajmy o nasze własne serca i wiermy w postęp medycyny.

☆

Ponadto: Janina Jamrógiewicz w „Tygodniku Demokratycznym” publikuje refleksje o wychowywaniu w warszawskich szkołach tej części młodych ludzi, którzy wrócili na ławę szkolną po porzuceniu uprzednio nauki. Hanna Małyszewska w „Walcie Młodych” pisze o „chłopaku, który zagrażał Rzeczy” czyli o Tadeuszu Kaube, założycielu podziemnej organizacji „Rota” (1940 r. Grudziądz), skazanym przez hitlerowców na karę śmierci. „Żołnierz Polski” (40 str., licząc konursy) drukuje m. in. rozmowę z płk. J. Miętkim; wspomina on święta, które przeżył jako dowódca samodzielnej grupy spadochroniarzy „Wolga” zrzuconej jesienią 1944 r. w Borach Tucholskich, dla wykonania specjalnych zadań. Jan Magdański drukuje w „Faktach i Myślach” felieton o upowszechnianiu świeckiej urzędowości („Barbara, Mikolaj oraz — inni święci”). A skoro znowu wróciliśmy do Świąt, to za „Szpilkami” polecamy hasło tygodnia: „Nie współzawodniczymy w robieniu szopek!”.

LEKTOR

Przeglądany Prase

Większość czasopism ukazała się z okazji świąt w zwiększonej objętości, przygotowując dla czytelników sporo materiałów, zwłaszcza wspomnieniowych i rozrywkowych. Do nielicznych wyjątków należy „Polityka”, która przygotowała normalne, nie odbiegające od cotygodniowego wydania. I w tym tygodniku znaleźliśmy najciekawszą — moim zdaniem — pozycję.

RATUJMY NASZE SERCA

„Jeśli jesteś mężczyzną i lubisz dobrze i dużo zjeść — rozpoczyna swój obszerny szkic pt. „Historia o sercu” Maciej Iłowicki — jeśli mieszkaś w mieście i roźdzaj pracy zmusza Cię do siedzącego trybu życia, a Twoja praca jest nerwowa i wymaga wysiłku umysłowego, jeśli jesteś człowiekiem, który nadmiernie przeżywa się kłopotami, do tego masz